

ROMAN KLIM

Rybackie opowieści Jana Netzla

Generalnym zadaniem Muzeum Rybołówstwa w Helu, Oddziału Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku jest gromadzenie, zabezpieczenie, opracowanie i eksponowanie zbiorów kultury materialnej i duchowej ludności rybackiej pasa nadmorskiego.

Działalność ta przyjmuje różne formy. Podczas licznych penetracji terenowych staramy się usilnie, aby powiększanie naszych zbiorów odbywało się w sposób kompleksowy. Metoda ta polega nie tylko na mechanicznym pozyskiwaniu eksponatów, ale również na szczegółowym ustalaniu realiów, w jakich funkcjonowały, oraz na odtwarzaniu możliwie wiernego i wyostrego ich tła. Jest to proces bardzo żmudny i pracochłonny, odbywa się poprzez gromadzenie: wywiadów nagrywanych na taśmach magnetofonowych, autentycznych odręcznych rysunków i szkiców, relacji pisemnych, dokumentacji fotograficznej. Wartość tych zbiorów jest o tyle istotna, że dotyczą one w głównej mierze rybaków — nestorów, a więc tej grupy, która już odchodzi i bezpowrotnie zabiera z sobą oryginalną kulturę rybacką. Materiały przez nas gromadzone stanowią więc ostatni ślad tej kultury. Zbiory te, celem ich popularyzacji w społeczeństwie, wykorzystujemy w najróżnorodniejszych formach. M.in. wywiady nagrywane na taśmach magnetofonowych i relacje pisemne rybaków opracowujemy w formie tzw. opowieści rybackich. Naszym zamierzeniem jest, aby w tych opowieściach, pochodzących ze wszystkich miejscowości rybackich polskiego wybrzeża, pokazać panoramę przemian zachodzących w rybołówstwie tradycyjnym. Zamieszczone tutaj opowieści Jana Netzla z Gdyni, brata pisarza kaszubskiego, Augusta Necla są tylko próbką tego przedsięwzięcia, dotąd jeszcze nie publikowaną.



Jan Netzel w 1935 r., podczas spaceru na starym mieście w Helu (wówczas ul. Wiejska, obecnie gen. Waltera)

O KUTRACH ŁOSOSIOWYCH NA KASZUBSKIM WYBRZEŻU

W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia rybacy łowili łososia niewodami. Połowy bywały udane. Ale po tych dobrych połowach nastąpiły lata chude. Jednego roku przez całą wiosnę rybacy nic nie złowili. Te niepowodzenia wlokły się jakieś pięć lat. Ale pewnego dnia na wysokości Poczernina zakotwiczył kuter. Rybacy z Chłapowa podpłynęli do niego łodzią i próbowali rozmówić się z załogą kutra. Okazało się, że kuter był z Gotlandii, a przypłynęli nim rybacy aż do wybrzeży polskich, żeby sprzedać złowionego łososia. Chłapowianie ożywwili się słysząc o łososiach i zaczęli się dopytywać, ile Szwedzi mają łososi, gdzie i jakimi sieciami łowią. A kiedy ujrzeli dobrą kopę ładnych łososi, to aż im się oczy zaiskrzyły.

Szwedzi załadowali łososie na szalupę

i ruszyli do brzegu, bo jeden z Kaszubów poradził im sprzedać rybę Michałowi Goli z Wielkiej Wsi. Gola handlował rybami, a do tego miał karczmę i sklep żywnościowy. Szybko dobił targu ze Szwedami i zaprosił ich do swojej karczmy na kornusa. Jak to przy kieliszku bywa, towarzystwo rozgadało się o tym i owym. A Franek z Chłapowa zwierzył się Goli, że taki kuter on też chciałby mieć. Gola zapytał Szweda, czy nie chciałby kutra sprzedać, na co ten odpowiedział, że owszem, ale dopiero po zakończeniu sezonu połowowego, które przypadało gdzieś za miesiąc.

Dębowy kuter (jedynie pokład był sosnowy) o długości około 29,5 stopy, szerokości 10 stóp i z zanurzeniem 4 stopy, razem z wyposażeniem, tzn. 58 m² żagla (grot, fok, kliwer i topsel) i 68 pławicami

miał kosztować 700 talarów. Dla naszych rybaków była to ogromna suma, więc Franek prawie pożegnał się z myślą o własnym kutrze. Ale znowu z pomocą przyszedł mu karczmarz. Powiedział Frankowi, że jeśli ten utarguje kuter za 600 talarów, to on Gola wyłoży pieniądze. Szwed nie chciał się zgodzić na obniżenie ceny. Rada w radę postanowili, że dwójkę najemców Szwed odeśle do domu, a do końca sezonu będą z nim pływać Franek, jego syn i szwagier Jan.

Połowy na kutrze przynosiły niespodziewane wyniki. Rybacy zarobili tyle, że mogli zapłacić Szwedowi 150 talarów za jego part, 300 talarów za kuter, drugie 300 pożyczyli od Goli, a jeszcze zostało im trochę pieniędzy na opędzenie ważniejszych wydatków. W następnym roku 1893 w Chłapowie było już 5 kutrów, w Wielkiej Wsi — 4 i w Karwi jeden. Co roku na całym kaszubskim wybrzeżu przybywały nowe kutry, kupowane od Szwedów. Dla Kaszubów posiadanie kutrów miało dodatkowe znaczenie, bo do tej pory tylko Niemcy z Helu, którym pomagał rząd pruski, mogli sobie na to pozwolić.

Początkowo połowy łososia przynosiły rybakom duże dochody, bo jak sami mówili „było łososia jak śledzia”. Ale później znowu połowy stały się nieopłacalne, bo przez całą wiosnę niektórzy łowili „po trzy łososie na maszopa”. Więc rybacy zaczęli wypływać na coraz dalsze, nieznanne im łowiska, zapuszczali się nawet pod brzegi Szwecji. Chociaż wszyscy użytkownicy kutrów uważali je za bardzo dobre jednostki, takie, które przetrzymują nawet najgorszą pogodę na Bałtyku, to jednak nie obeszło się bez wypadków utonięć.

Któregoś dnia ciężki sztorm z kierunku północno-zachodniego zaskoczył kuter z Wielkiej Wsi na morzu. Na kutrze znajdowało się dwóch rybaków: August i jego szwagier Franek. August odpoczywał w koi, a Franek siedział w kokpicie. Nagle, silna fala rzuciła kutrem tak gwałtownie, że August wypadł z koi.

Szybko wy dostał się na pokład, żeby sprawdzić, co się stało. Zagle łopotwały, a kuter stał dziobem na wiatr. Z trudem dostał się na rufę i z przerażeniem stwierdził, że szwagra nie ma w kokpicie. Szybko ustawił kuter na kurs w kierunku Helu, podebrał szot i zaczął wołać szwagra. Ale Franka nie było. Prawdopodobnie wypadł za burtę, kiedy kuter nagle się przechylił.

August został sam na kutrze i zaczął żeglować w kierunku Helu. W strasznych warunkach minął Rozewie. Dopiero na trawersie Wielkiej Wsi troszkę się uspokoiło. Koło Helu było już zupełnie spokojnie, fali prawie nie było, a wiatr słaby. August na fokę wszedł do portu. Tuż za nim wpłynął drugi kuter. August dowiedział się, że z tego kutra także utonął jeden rybak. Stało się to na samej Głowicie (na wysokości Rozewia) tak samo jak z Frankiem. Fala nagle podniosła rufę i rybak jak wystrzelony wyleciał z kokpitu. W czasie tego wielkiego sztormu dwa kutry w ogóle nie wróciły z morza: jeden kuter z Półwyspu, a drugi z Wysokiego Kraju (tak nazywano okolice między Orłowem a Mechelinkami).

Od czasu tego pamiętnego sztormu liczba kutrów na wybrzeżu kaszubskim zaczęła szybko maleć. Rybacy co prawda nie wystraszyli się morza, był inny powód. Ponieważ połowy były coraz słabsze, a wierzycciele zaczęli dochodzić swych praw, kilka kutrów sprzedano na licytacji, inne jednostki sprzedali sami, bo nie było łososia. W Chłapowie, pamiętam, ostatnie kutry sprzedano w 1906 roku. Byłem świadkiem ostatniego spychania ich na morze. Rybacy ściągali kutry za pomocą lin nawijanych na kabestan i rolek podkładanych pod kuter. Więcej ich już nie wyciągali na brzeg, bo po zakończeniu sezonu łososiowego sprzedano je do Brzeźna i Mechelinek.

Po kilku latach łosoś znowu pojawił się w Bałtyku. Ale rybacy wychodzili na dryfowanie na pomerankach. W ten sposób łowiono łososie aż do wybuchu I wojny światowej. Myślę, że gdyby rząd pruski pomógł w ciężkich latach polskim

rybakom, budując jakąś przystań, gdzie kutry mogłyby bezpiecznie stać, to rybacy nie musieliby sprzedawać swoich kutrów. Ale dla Polaków nie było pomocy.

Kiedy zaczęto budować port na otwartym Bałtyku w okresie międzywojennym,

to wszyscy byli zadowoleni. Jedyńie Niemcy — Helanie oświadczyli, że nie będą z niego korzystać. Jeden z nich — Karol Düchring powiedział mi nawet, że port budowany przez Polaków zniszczy pierwszy lepszy sztorm.

PRYZGODA PRZY TAKLACH ŁOSOSIOWYCH

Było to na początku grudnia 1887 roku. Rybacy z Wielkiej Wsi wybierali się na połów lososia. Takle zastawili wcześniej i zamierzali tylko zebrać złapane lososie, założyć świeżą przynętę i ewentualnie do 75 zastawionych haków dostawić jeszcze 30. Za przynętę służyły płocie z Jeziora Żarnowieckiego. Łódź odbiła od brzegu, kiedy było jeszcze ciemno. Nie było mrozu, za to mgliście i pochmurnie. Na łodzi znajdowało się pięciu ludzi. Szyprem był stary Walcoszek (Ceynowa). Jeden ze starych rybaków zachorował, więc zastępował go jego syn Gust, młody jeszcze chłopak.

Wiosłowało się dobrze. Dopłynęli do pierwszej pławy — sterdry. Rozpoczęli przegląd. Już na piątym haku mieli pięknego lososia, który ważył przynajmniej dwadzieścia funtów. Zbrali pięć dużych lososi i dostawili 30 haków. Wracając zdjęli jeszcze dwa już z nowych haków. Połów był udany; bo razem lososie ważyły 30 cetnarów. Łódź znajdowała się około 5 mil od lądu. Przy dobrych warunkach znaczyłoby to około 2 godzin wiosłowania. Ponieważ mieli wiatr południowo-zachodni, więc po trzech godzinach powinni dobić do brzegu. Wiosłowali dobre cztery godziny a lądu jak nie było, tak nie było. Zaczęli więc sondować. Głębokość taka sama, jak przy końcu takli, 30 sążni. Czy kompas źle wskazuje, czy jakiś purtk ich zwodzi?

Zbłądzili. Próbowali wiosłować w różnych kierunkach, ale nie mogli się zorientować, gdzie są. Mgła jak ściana, nie słysząc syren z Rozewia, a jeszcze do tego zaczyna dokuczać głód, zmęczenie i pragnienie. Pozasypiali. Obudzili się

kiedy było już jasno. Znowu próbowali wiosłować. Zauważyli statek, ale i to nie pomogło, bo nie wiedzieli, czy plynie do Gdańska, czy z Gdańska. W końcu każdy opatulił się w co tylko miał i posnęli. Było już ciemno, kiedy przebudził ich Gust. Mgła akurat się rozwiła i chłopak zobaczył światło. Obudził szypra. Szyper widząc, że wiatr wieje w stronę światła, stwierdził tylko, że to Rozewie i zasnął znowu. A Gust zaczął rozmyślać: „jeśli wieje wschodni wiatr, a widoczne światła — to Rozewie, to znaczy, że jesteśmy bliżej Wielkiej Wsi, niż Rozewia, Nenka stoi pewnie nad morzem i wypatruje mnie. Jak tatko długo nie wracał z morza, to zawsze go wypatrywała. Trzeba dać jej znak, może zapalić ogień? Ale z czego? Zapalki ma pewnie B., bo on pali”.

Gust wsadził rękę do kieszeni śpiącego rybaka i znalazł zapalki. „Spać się chce, ale najpierw muszę zapalić ogień. Gdyby rękawicę nasączyć naftą i zapaloną podnieść na wiosło, to nenka by zobaczyła, bo latarnia daje za słabe światło”. Gust zapalił jedną rękawicę, potem drugą, nareszcie zapalił szalik, ale takie „pochodnie” gasły bardzo szybko. Skrawek palącego się materiału upadł na rękę jednemu ze śpiących rybaków. Kiedy Gust wyjaśnił mu, co robi, rybak wziął swój szal, owinał nim wiosło i umoczył w nafcie. Teraz płomień był dobry. Żeby nie uszkodzić łodzi „pochodnią”, umocowali ją na rufie i poszli spać. Chociaż matka Gusta nie czekała na wydmach, to jednak znak dostrzeżono z lądu. O czwartej nad ranem na pomoc rybakom wypłynęły dwie łodzie, a na brzegu kobiety

przygotowywały jedzenie, picie i kornus. Ratownicy musieli się bardzo śpieszyć, bo zbliżał się sztorm. Znaleźli całą załogę nieprzytomną, ale nie było czasu na uczenie rybaków, trzeba było uciekać do brzegu. Zaczynało świtać, kiedy wrócili, a już o dziesiątej był ciężki sztorm.

Tak wyglądał ostatni połów naszych rybaków z takłami (później takłowali jeszcze tylko Niemcy — Helanie), jego uczestnicy długo pamiętali swoją przygodę, a Gust był bardzo dumny, że uratował życie czterem doświadczonym rybakom.

WALKA O ŻYCIE OŚMIU RYBAKÓW NA POMERANCE

Było to osiemnastego lipca 1902 roku. Sobota, ładna pogoda, lekka bryza. Dzień jakby stworzony, żeby pójść z netami na flądry. Ojciec miał nową pomerankę, zbudowaną przez skutnika Albrechta z Leśniewa, nowe ożaglowanie, a na dopełnienie szczęścia, od kilku dni był na niej szyprem. Wspólnikiem ojca był Jan B.

Tego dnia pomeranka ojca wyszła w morze ostatnia, bo rybak, na którego przypadł dyżur buźnienia pozostałych, zasnął o całą godzinę. Toteż nie tracili czasu, tylko szybko popłynęli na swoje łowisko na głębokość 22 sążni, gdzie poprzedniego dnia mieli bardzo udany połów. Po drodze widzieli rybaków, którzy wybierali nety i zaraz na tym samym miejscu stawiali nowy zastaw.

Kiedy zaczęli wybierać swoje sieci, stwierdzili, że nie udał im się specjalnie połów, więc cofnęli się na głębokość 20 sążni i tam zaczęli wystawiać. Inne łodzie wracały już do brzegu. Kiedy wydawali drugi zastaw, coś dziwnego zrobiło się z pogodą, aż rybak Juliusz zapytał: — „Co się tak kolorowo zrobiło? Od strony łądu jakiś żółty obłok, horyzontu zupełnie nie widać i do tego zupełna cisza. — Niedobrze — mówi ojciec. Nagle zerwał się wiatr wiejący dokładnie od strony przystani, z południowego zachodu. Zanim zdążyli złapać za wiosła nety już były zerwane. Ojciec miał zamiar postawić żagle, ale w żaden sposób nie mogli na wiosłach utrzymać łodzi pod wiatr. Pomeranka jak dziki koń pędziła z wiatrem skacząc na falach. Wszyscy byli przerażeni, zdawało się, że to koniec

świata. Ojciec kazał zrefować grot i fok, i stawiać żagle, a wiadomo, że manewrowanie żaglami przy takiej pogodzie i w otwartej bezpokładowej łodzi wymagało wielkiej zręczności. O dostaniu się do przystani nie było nawet co marzyć, szypier nastawił się więc na sztormowanie.

Chcieli uciec jak najdalej na zachód, ale zaczęło wiać z taką siłą, że co prędzej musieli ściągać żagle, a nawet położyć maszt, żeby wiatr nie wyrwał łodzi. W tej sytuacji pozostało im tylko ustawić łódź dziobem do fali i wylewać przez cały czas wodę. Ale przy pomocy wiosel nie można było tego zrobić, bo falowanie było tak silne, że czasami wiosła nie dosięgały wody. W końcu ojciec zdecydował, że trzeba z kilku net zrobić dryfkotwę i rzucić ją z rufy. Teraz łódź trzymała się prosto na wiatr. Za to przez dziób wlewało się tyle wody, że dwoma złożonymi szuflami (po osiem — dziesięć litrów naraz) nie nadążali jej wybierać.

Juliusz i Jakub zaproponowali, że można by zrobić coś w rodzaju łamacza fal na dziobie. Wszystko już było prawie gotowe, kiedy większa fala zerwała całą konstrukcję i zalała pół łodzi. Strach ogarnął całą załogę. Tylko Juliusz i szypier zachowali jako taką przytomność. Ojciec bardzo spokojnym na pozór tonem wydał polecenie: — Józef i Juliusz do szufl! Józef na prawą burzę wylewa, a Juliusz na lewą. Stać na środku łodzi! Reszta siedzi spokojnie! Po jednym wiosle z każdej burty! Jakub i Micha! Trzymać dokładnie dziobem na wiatr!

Ojciec wiedział, że tylko spokój może

głodni i zniechęceni, do tego nie mieli wody do picia. Zaczęło dokuczać im zimno. Żeglowali dobre sześć godzin, ale łądu jak nie widać, tak nie widać. Wreszcie szyper nie wytrzymał bezczynności, wstał i zaczął dłońmi bić o plecy. Reszta tak samo. Mimo, że wymagało to wysiłku, jednak rozgrzali się trochę i znowu przycichli. Wtem Michał zawołał: „Widzę wit!”

Rzeczywiście, światło za chwilę znów się pokazało. Ale było to światło pojedyncze. Znaczy, że to nie Rozewie, a więc chyba Hel? Po godzinie ujrzeli drugie światło. Teraz nie było już wątpliwości, że widzieli bliżę borowską, bo w lewo od niej była latarnia helska.

Dobili do brzegu, dokładnie o drugiej w nocy. Przez dziewięć godzin łódź zdryfowała około 40 mil.

Kiedy wreszcie łódź stuknęła dziobem o brzeg — zwinęli żagle. Z wielkim trudem wydostali się z pomeranki. Michał pierwszy chwycił kotwicę i aż pod wydmami zarył ją w piasku. Potem wybrali linę na sztywno i obłożyli na knagę, zabezpieczyli łódź jeszcze trzema kotwicami i dopiero wtedy poszli do latarników. Przejście wydm kosztowało ich mnóstwo wysiłku, ale u latarników czekało ich serdeczne przyjęcie. Najpierw przebrali się w suche ubrania, okryli kocami, potem żona latarnika nakarmiła i napiła ich i za chwilę wszyscy spali. Latarnik zatelefonował nawet do Rozewia, żeby tamten latarnik zawiadomił rodziny rybaków, że żyją i dotarli do bliży borowskiej. Rybacy spali prawie do południa. Ubrali się w swoje wysuszone ubrania i chcieli się rozliczyć z latarnikiem

Polów na kutrach łososiowych



Wicklandem, ale on nie żądał zapłaty, pomógł im z dobrego serca, a nie dla zysku. Ponieważ mieli południowo-zachodni wiatr, więc popłynęli do domu. O trzeciej po południu byli już w domu. Kiedy wrócili przywitani się z żonami i matkami, zaczęło się opowiadanie. Żony rybaków i matka Michała cały czas czekały u sołtysa na jakąś wiadomość. Zawiadomiono Kapitanat Portu w Gdańsku, który wysłał holowniki na poszukiwanie trzech pomeranek, które nie wróciły do portu. Holowniki wróciły bez rybaków, a do tego jeszcze ze złymi wieściami, bo ratownicy stwierdzili, że przy takich warunkach nie ma nadziei na sztormowanie w otwartej łodzi. Kobiety wcale nie kładły się spać, czekały i wierzyły. Koło

czwartej do sołectwa przyszedł latarnik rozewski — Niemiec Heine. Rzekł: — „Ucieszcie się. Wasi są w Borze, o drugiej w nocy przyszli do latarnika Wicklanda. Dostali jeść, a teraz śpią. Wszyscy są zdrowi”. Co to była za radość? Płacz, uściski, śmiech, westchnienia ulgi. Zanim dotarło do nich, że trzeba podziękować latarnikowi, jego już nie było. Kobiety mimo nieprzespanej nocy i nadmiaru emocji nie odpoczęły nawet, tylko udały się do Swarzewa, żeby podziękować Matce Boskiej Swarzewskiej za cudowne ocalenie mężczyzn. A ojciec mój powiedział: — Tego dnia nie zapomnę nigdy, to wcale nie przesada, że byliśmy jedną nogą na tamtym świecie. To cud, żeśmy przeżyli taki sztorm.

O STATKACH ŻAGLOWYCH NA BAŁTYKU W LATACH 1906-1914

Pamiętam, że przed pierwszą wojną światową kursowały po Bałtyku piękne, duże żaglowce. Nie mam na myśli tych z Pucka, ze Swarzewa, czy rewskich szkut, ale te duże, ze wszystkich portów znad Bałtyku i Morza Północnego.

Bardzo często na wschód od Rozewia aż po dzisiejszy port we Władysławowie kotwiczyło dużo statków czekając na zmianę wiatru. Czasami stały po dwa tygodnie. Były wśród nich 1-, 2-, 3-, a nawet 4-masztowce, rejowce, fregaty, barki, kecze i brygandyny a najwięcej było szkunerów. Z tych statków schodziło na ląd wielu marynarzy. Przychodzili do szynków. W Chłapowie na przykład były trzy szynki, dwa z nich należały do Niemców.

Wśród marynarzy zdarzali się mądry ludzie. Był na przykład jeden kapitan, którego statek często kotwiczył koło Rozewia. Miał piękną brodę, której mu zawsze zazdrościłem. Powiedział nam kiedyś, że jęczmień trzeba siać po południu, koło piątej. Rzeczywiście, jęczmień siany według wskazówek kapitana wykłosił się piękniej niż reszta.

Utkwił mi w pamięci jeden obrazek z 1908 roku. Dzień był piękny, cisza, morze jak lustro, wspaniała widoczność. Niedaleko brzegu las masztów, Małe żaglowce stały bliżej, większe dalej. Nagle na wszystkich statkach zrobił się ruch, bo ze wschodu zaczął wiać lekki wiaterek. Słychać było skrzypienie kabestanów, zgrzyt podciąganych łańcuchów kotwicznych. Wszystkie statki obróciły się dziobami na wschód, morze ściemniało. Rozległo się skrzypienie bloków. Na statkach słychać nawoływania, padają komendy.

Szkunery szybko uporały się z żaglami, ale ja patrzyłem na rejowce. Marynarze wspinają się na maszty, jak koty na drzewa, czepiają się lin, jak pająki, wdrapują się na reję. Teraz z rei zaczynają z łopotem opadać żagle. Podciągnięto już kotwice, żaglowce kierują się dziobami na północ. Kliwry już rozpięte. Zanim opadły ostatnie żagle, statki już łapią w kliwry lekki wiatr i wolniutko oddalają się od brzegu.

Przodem płyną szkunery, które najszybciej ustawiły żagle, za nimi reszta. Wygląda to jakby chmara białych moty-

li tu i ówdzie ubarwionych kolorami zielonymi, czerwonymi, brązowymi, niebieskimi — odlatywała na północ. Jak ławica żaglowce oddaliły się od Przylądka Rozewskiego, a za godzinę, mimo bardzo dobrej widoczności, widać było już tylko białe plamy na horyzoncie, które szybko przesłoniły spienione grzbiety zrywających się fal.

Z żaglowcami wiążą się także inne wspomnienia. Był na wybrzeżu taki zwyczaj, że wszystko, co wyrzuci morze na brzeg staje się własnością rybaka, który to znajdzie. Takie znalezisko Kaszubi nazywali „bitą”. „Bity” pochodziły z żaglowców które wpadły na mieliznę, czy też rozbiły się blisko brzegów.

W 1904 r. tuż przed gwiazdką, ojciec przyniósł do domu śledzie. Jak się okazało, pochodziły one z norweskiego szkunera „Adela”, który płynął z ładunkiem 400 beczek śledzi z Norwegii do Gdańska. Statek się rozbił. Z załogi uratowali się tylko kapitan i jego syn. A beczki ze śledziami morze wyrzuciło na brzeg od Rozewia aż po Jastarnię.

W Chłapowie rybacy znaleźli pięć czy sześć beczek. Trzy beczki usiłował zakopać jeden z rybaków. Ale, że rok był ciężki dla wszystkich rybaków i bieda zaglądała do wszystkich chałup, więc niesprawiedliwie by było, żeby tylko jeden cieszył się zdobyczą. Rybacy postanowili śledzie podzielić między wszystkich.

Na ogół jednak „bita” w całości należała do tego, kto ją znalazł. Tego, co ktoś złożył sobie w wąwozie, czy na wydmie nikt nie zabierał. Zdarzały się co prawda wypadki kradzieży, ale na ogół wiadomo było, kto okazał się nieuczciwy.

Najczęściej morze wyrzucało na brzeg drewno: belki, deski, tarticę. Działo się tak dlatego, że drewno mocowano na pokładzie. Przy silnych wiatrach fala z burty zalewała część ładunku tak, że ciężkie, mokre drewno powodowało przechył statku. Część tego drewna trzeba więc było

zepchnąć do wody, a później morze wyrzucało je na brzeg.

Rząd pruski postanowił jednak przeszkodzić Polakom w zbieraniu „bit”. Dlatego w każdej wsi osadzał „strandvogta” — komisarza rozbitków, który miał obowiązek dopilnowania, aby ładunek rozbitych statków trafiał w ręce Prusaków.

Rybacy bali się takich „vogtów”, ale też lubili im robić na złość czy w jakiś sposób ich przechytrzyć. Pamiętam, że braciom S.: Augustowi, Jakubowi, Janowi i Józefowi z Chłapowa udało się pięknie wykiwać „vogta”.

Był sztorm z północnego zachodu. Kiedy wiatr trochę przycichł — tuż po północy — August poszedł na brzeg zobaczyć, czy morze czegoś nie wyrzuciło. Miał szczęście, bo ledwie zszedł na plażę, natknął się na „planki” pierwszej klasy. Miały długość dwadzieścia stóp, szerokość 1 stopy i dwa cale grubości. Poszedł po braci, bo sam nie dałby rady ukryć desek. W czwórkę poznosili deski na wydmy i wysłali Jakuba po furmankę. Nagle zobaczyli „vogta”. August ze złością rzucił: — Co tego starego diabła skusiło, że wylazł z łóżka od baby? — Ale wcale nie zamierzał zrezygnować z „bity”. A tu jak na złość komisarz wpakował się prosto na złożone na wydmie deski. Obszedł je dookoła i usiadł za krzakiem, żeby schować się od wiatru i postanowił pilnować desek do świtu. Ale bracia przynieśli linę, najmłodszy Jan podczołgał się do desek i powiązał po dwie do pętli. Starsi bracia wyciągali po cichu deski i zakopywali kawałek dalej. Tym sposobem wybrali wszystkie „planki”. Rano, kiedy zrobiło się jasno, „vogt” wstał za krzaka, rozejrzał się, a tu po deskach ani śladu. Musiał mieć bardzo głupią minę. Domyślał się, że to robota braci S., ale nie im nie mógł zrobić, więc tylko klnąc i odgrażając się poszedł w stronę Chałup.

PRZYGODA POMERANKI

Na pomerankach wypływali rybacy przede wszystkim na fladę. Połowy fladry odbywały się od końca czerwca do listopada. Natomiast od połowy marca do końca maja pomeranki stosowano do połowów łososia. Na łososia wypływało po czterech rybaków. Każdy z nich posiadał 10 pławnic, a zamożniejsi — nawet piętnaście, więc jednorazowo zastawiano 40—60 pławnic. Z pławnicami wypływało się po południu, tak, żeby ustawić sieci przed zachodem słońca. Sieci zastawiano się prostopadle do brzegu. Na początku była boja — pława z zapaloną latarnią. Potem osiem — dziewięć pławnic, po nich stawało się pławę nieoświetloną, znów tyle samo pławnic i drugą oświetloną pławę, następnie sieci i trzecią oświetloną pławę. Ostatnia pławnica była połączona z pomeranką 30-sążniową liną dryfową, a na łodzi umieszczono czwartą zapaloną latarnię. Tak zastawione sieci

dryfowały aż do momentu wybierania, które rozpoczynano na godzinę przed świtem.

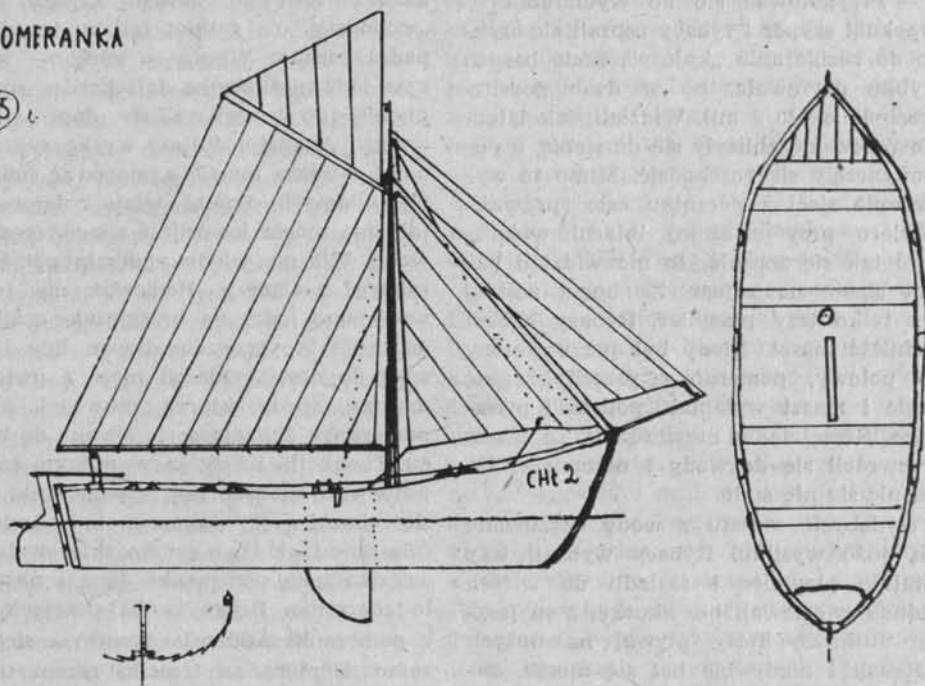
Po zastawieniu sieci załoga budowała sobie rodzaj „kajuty”, bo pomeranki są łodziami bezpokładowymi. Robiło się to z masztu opartego na boku w „policzkach” masztowych i na koźle na rufie. Przez tak ułożony maszt przerzucało się żagiel i mocowało go do burt. W „kajucie” ustawiano żelazny piecyk na torf, który służył jednocześnie jako kuchnia. Stół powstawał po przesunięciu ruchomej ławki do ławki masztowej. Po kolacji trzech rybaków szło spać, a czwarty zostawał na wachcie, żeby obserwować dryfowanie sieci i nie wejść na cudzy zastaw, bo miały one długość od 1300 do 1900 metrów.

O jednym z takich połowów opowiadał ojciec, kiedy miałem dziewięć lat. Było to po Świętach Wielkanocnych w 1909 r.

Pomeranka — rysunek odręczny Jana Netzla

POMERANKA

(25) t.



Kilka pomeranek wypłynęło z pławnicami. Na jednej płynęli: szyper Jan, jego wspólnik Augustyn, szwagier Juliusz i stary Jan, który miał ponad 10 lat. Pierwsza łódź zaczęła wystawiać sieci tuż od brzegu. Szyper Jan postanowił ominąć ją, przejść na bezpieczną odległość na wysokość Rozewia i tam rozpocząć wystawianie. Po wystawieniu sieci znajdowali się w odległości 2 mil od brzegu. Po kolacji na wachcie stanął Juliusz. Szyper wyszedł do niego na dziób i rzekł: — Wiatr się zmienił, był południowo-zachodni, a teraz wieje już z zachodu.

Na to Juliusz odpowiedział:

— To jest już północno-zachodni i do tego coraz silniejszy.

A zanim wyszliśmy w morze śnił mi się sztorm z nordwestu, kiedy się zdrzemnąłem na wydmie. A szkwał później był taki, że krzaki jałowca przygięło do ziemi. Szyper był zaniepokojony, zdążył tylko powiedzieć: — Szkoda, żeś nie powiedział tego przed wyjściem w morze, bo to może zapowiadać silny wiatr.

W tej chwili zaczęło silnie dmuchać.

— Przygotować się do wybierania — krzyknął szyper i rybacy zebrali się szybko do rozbiegania „kajuty”. Łódź bardzo szybko dryfowała, bo w dwie godziny przebyła około 2 mil. Widzieli, jak latarnie rozewskie zbliżyły się do siebie, a potem zaczęły się rozchodzić. Mimo to wybieranie sieci z początku szło sprawnie. Dopiero przy ostatniej latarni widoczność tak się zepsuła, że nie widzieli nawet siebie nawzajem. Za burtą zostały już tylko trzy pławnice. Rybacy chcieli podnieść maszt. Kiedy był już uniesiony do połowy, pomeranka przechyliła się nagle i maszt wyłamał „policzki” masztowe. Szczęście w nieszczęściu, że maszt przewrócił się do wody i nikomu w łodzi nic się nie stało.

Wydobycie masztu z wody kosztowało ich dużo wysiłku. Rybacy wybrali trzy ostatnie pławnice i zasiedli do wiosel. Jednak wiosłowali bez skutku, a tu jeszcze Juliusza, który pływał na dużych statkach i nigdy nie bał się morza, za-

częły męczyć przeczucia, że nie dopłynie dziś żywy do brzegu.

Szyper — doświadczony rybak — kazał wystawić miecz na zawietrzną. Poskutkowało. Przez jakiś czas przybliżali się do brzegu. Nagle silna fala wyniosła pomerankę wysoko i łódź zaczęła niesamowicie tańczyć. Miecz wypadł. Mimo to szyper kazał dalej wiosłować. Juliusz zaczął popadać w panikę. Zdenerwowało to szypra, więc ostro zwrócił szwagrowi uwagę, żeby nie gadał tyle, tylko wiosłował, bo nic mądrzejszego zrobić nie mogą. Potem razem ze starym Janem z części podłogi zwanej plichtą zmontowali coś w rodzaju miecza. Teraz znacznie szybciej posuwali się w kierunku lądu. Nawet nie wiedzieli, w jaki sposób przepłynęli plicznę — rewę. Spostrzegli się dopiero, kiedy za nimi zaczęły się przewalać ogromne fale. Mieli szczęście, że udało im się uciec przed falami załamującymi się na rewie, bo pod taką masą wody łódka jest jak łupinka. Ponieważ fala stawała się coraz wyższa, szyper przykazał trójce wiosłować, a sam obserwował wodę. Kiedy fala doganiała łódkę, kazał wiosłować bardzo szybko, łódź „wchodziła” na grzbiet fali, w tej chwili padał rozkaz: Wiosła w górę! — wówczas łódź niesiona na fali bardzo szybko płynęła do brzegu. Kiedy dopłynęli do brzegu, August i Juliusz wyskoczyli z linami i udało im się zamocować łódź aż na wydmach. Dzięki temu cofająca się fala nie mogła ich znieść z powrotem na wodę. Właśnie wtedy nadeszła pomoc — rybacy z Chałup. Ponieważ nie mogli wyciągnąć łodzi na brzeg, więc założyli jeszcze tylko trzy dodatkowe liny i ruszyli do domu. Odeszli może z dwieście metrów, kiedy któryś zauważył drugą pomerankę zbliżającą się szybko do brzegu. Zawrócili. Kiedy za pierwszym razem próbowali odebrać liny z pomeranki (jak się okazało, jej szyprem był Andrzej) fala zniosła łódź, a potem skierowała na zakotwiczoną pomerankę Jana i nastąpiło zderzenie. Druga próba przyjęcia lin z pomeranki Andrzeja skończyła się tak samo. Dopiero za trzecim razem udało

się rybakom zacumiować łódź. Załoga drugiej łodzi była kompletnie wyczerpana, toteż rybacy z Chałup sami wybrali wodę z łodzi, podciągnęli ją bardziej na brzeg, umocowali dodatkowymi linami, a Andrzeja i jego towarzyszy zabrali z sobą do Chałup. Jan ze swoją załogą poszli do Chłapowa, choć byli bardzo zmęczeni

ni i przemoczeni do nitki. A na temat Juliusza i jego przeczuć, że potoną, rybacy z łódek mówili: — Ci zejmani z dużych statków tak długo są pewni siebie, dopóki mają pokład pod stopami, ale kiedy zaczynają robić się ciężko, to się topią.

RYBACKIE OBRAZKI DNIA CODZIENNEGO

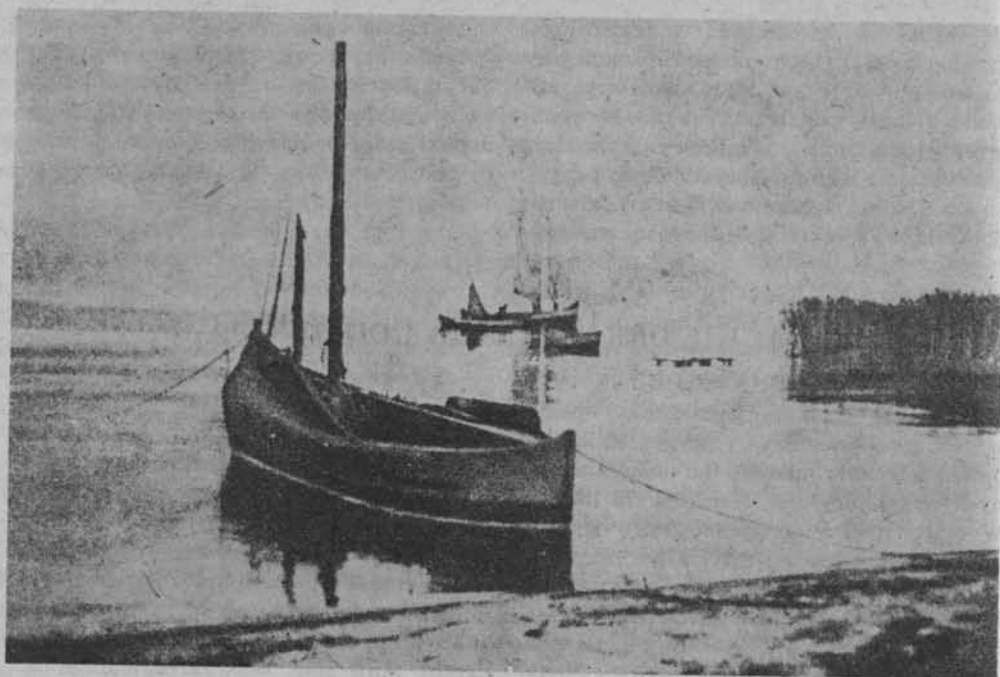
Wszystkie opisane wydarzenia oparte są na opowiadaniach mojego dziadka, ojca, starych rybaków i na moich własnych wspomnieniach, i sięgają do 1880 r. W tamtych czasach rybołówstwo wyglądało zupełnie inaczej niż dziś, a przyczyną tego był sprzęt stosowany przez rybaków. Bawełna na sieci, sieci tkane fabrycznie, manila — pokazały się dopiero około 1880 roku. Zresztą nawet kiedy można je było kupić, nie wszyscy rybacy mogli sobie na to pozwolić, dlatego niemal cały sprzęt wykonywali własnoręcznie.

Sieci robiono z konopi i lnu, które rybacy uprawiali na wydzierzawionych polatkach, albo w ogródkach przy chałupach. Do sieci zastawnych potrzebna była cieniutka nitka, dlatego czesanie i przędzenie wymagało dużej dokładności. Natomiast żaki, niewody, czy, albo skrzydła do sieci wyrabiano z grubszych nici, z nie tak dokładnie i czysto wyczesanego włókna. Później, kiedy pokazała się manila, używano jej do tych grubszych siatek, ale do sieci zastawnych nie nadawała się. Również z konopi i manili robiono cieńsze liny. Liny o większej średnicy wykonywano z lyka drzewa grabowego. Stąd też pochodzi ich kaszubska „grubka”. Drewno grabowe było najpierw na określony czas zanurzone w wodzie, następnie mokre wkładano do pieca chlebowego mocno rozgrzanego. Ta czynność nazywała się parzeniem. Z wyparzonego drewna odrywano włókna i na specjalnych kołowrotkach z trzema kołami zębatymi i trzema hakami, do których moco-

wało się początek liny — skręcano trzy pokrętkowe (składające się z trzech cieńszych) grube liny. Jedyne sznurki jakie kupowano gotowe to były sznurki czteropokrętkowe do haków i takli o średnicy od 2 do 3,5 mm.

Robienie lin i sieci było bardzo pracochłonne, więc zatrudnione przy nim były całe rodziny: kobiety przędły nici, a mężczyźni tkali sieci lub skręcali liny. Na takich zajęciach upływał rybakom „martwy sezon”, który trwał od listopada do końca lutego. Bardzo rzadko w tym czasie rybacy wypływali w morze. Jedyne Kuźniczanie chodzili na węgorza z bodorami, łowili nimi pod lodem. Ale już od marca zaczynały się normalne połowy. Na początku marca odbywały się „zszywiny”, czyli przygotowanie sieci do połowów. Na ogół do dnia św. Grzegorza — 12 marca — wszystko było gotowe.

Na flądry, węgorze, dorsze i szczupaki zastawiano haki. Łososia łowiono i na takle (haki łososiowe) i pławnicami, które dzieliły się na łososiowe (duże łososie) i mielnicowe (młode łososie) oraz niewodami łososiowymi, które nazywano las-kornami. Niewody stosowano także na śledzia i szprota (te nazywały się „bretlinzniki”). Na flądry, płocie, szczupaki i okonie zastawiano nety. Żaki zastawiano na węgorza i drobne ryby. Był także specjalny niewód węgorzowy tzw. „wcetka”. Najbardziej zaś rozpowszechnioną siecią była ceza używana do połowów fląder i innych płastug, małego dorsza i węgorzy. Rybacy takim sprzętem łowili na łowiskach przybrzeżnych. Najdalej



Pomerank!

od brzegu wystawiali takle — do 3 mil. Z pławicami i netami również nie wypływali dalej niż 3 mile od lądu. A z cezą chodziło się na głębokość 8 sążni, czyli najdalej półtorej mili od brzegu. Trochę inaczej łowili rybacy znad Zatoki Puckiej. Zasadniczo łowili na całym akwenie, bo do zatoki na tarło przyplływały: płoć, makrela, okoń, sieja, belona. Oczywiście, obowiązywała już wtedy ochrona niektórych ryb w okresie tarła, a dodatkowo nie wolno było łowić na tzw. tarłowiskach ochronnych.

Sytuacja rybaków z Półwyspu Helskiego była lepsza niż mieszkańców innych części wybrzeża. Większość rybaków podejmowała pracę u gburów, którzy zatrudniali ich dorywczo. Zamiast zapłaty w gotówce, rybacy otrzymywali wynagrodzenie w innej formie. Na przykład mogli korzystać z pastwisk dla wypasu własnych krów, za osiem dni pracy mogli dostać zagon ziemniaków (sześć rzędów po dwieście kroków długości), za wywiezienie opornika — torf, za odwiezienie do Pucka świniaka — jeśli to trwało na

przykład 6 godzin — zapłata była taka, jak za 6 dni pracy. Zwykle zebrali się 150 do 180 dni w roku przepracowanych przez rybaków u gburów. Zimą natomiast po kilku rybaków młóciło zboże po stodołach. Za tę pracę otrzymywali tzw. „jedenasty korzec” czyli z każdej jednostki wymłóconych korców — jeden należał się rybakom. Od 1902 roku w Chłapowie każdy rybak, który nie miał ziemi, musiał pracować u gburów, a dzień pracy trwał od 6 rano do zachodu słońca. To, że rybacy pracowali u chłopów, nie wynikało nawet ze słabych połowów, tylko złowionej ryby nie mogli sprzedać po przyzwoitej cenie. Wiązało się to z brakiem transportu.

W każdej wiosce był handlarz ryb, który wyzyskiwał rybaków. Skupował od rybaków ryby za marne grosze, woził je do Gdańska i tam sprzedawał z zyskiem pięcio-, a nawet dziesięciokrotnym. Zdarzały się wypadki, że handlarz sprzedawał rybę 20 razy drożej niż kupił od rybaków. Handlarze wcale nie ukrywali swoich zarobków, chwalili się nawet, że

„rybak ma z połowów tyle, co wróbel, a oni tyle, co krowa”. To była prawda. Kiedy handlarz nie mógł zarobić na sprzedarzu przyzwoitej kwoty, to po prostu nie kupował ryb. Wtedy nie było innego wyjścia, jak tylko założyć kosz na plecy (tzw. kaźnię) i wędrować do Gdańska na targ rybny, albo wędrować od drzwi do drzwi po wioskach z nadzieją, że ktoś coś kupi. Sprzedają zajmowały się rybaczeki. Przynosiły wtedy do domu pieniądze, albo co zdarzało się częściej — chleb, mąkę, jaja, ziarno, a nawet mięso. Ale kiedy ryb nie udało się sprzedać, były one wyrzucane na pola, bo za porzucanie ryb w przydrożnych rowach groziły grzywny.

Były lata, że rybacy wiosną mieli marne połowy łososi i węgorzy. W tych latach jedynym ratunkiem było zaciąganie długów u „pana”, (byli to handlarze ryb, właściciele karczm i sklepów), który udzielał kredytów, ale tylko do pewnej kwoty i na procent. Rybacy wówczas żyli w wielkiej biedzie. Dwa posiłki dziennie ograniczały się do ziemniaków z solanką śledziową, albo do pulków (kartofle w mundurkach) z solą. Niektórzy chodzili pożyczać kartofle, kaszę czy trochę zboża od rybaków, którzy mie-

li nieco więcej niż oni. Przeważnie pomoc otrzymywali, choć nikomu się nie przelewało. Był jeszcze inny wypadek, kiedy „panowie” okazali się bezwzględni dla rybaków. Od 1893 r. rybacy zaczęli kupować łodzie od Szwedów. Pierwsi, którzy kupili kutry, choć byli zadłużeni u „panów”, zdążyli spłacić pożyczki, bo przez pierwsze trzy lata połowy były udane. Ale reszta rybaków wyszła na kutrach „jak Zabłocki na mydle”. Zyski z połowów były za małe, żeby spłacić długi, więc komornik pozajmował kutry. O pomocy rządu pruskiego nie było co marzyć, dlatego w 1906 r. kutry nie zajęte nawet przez komornika i tak zostały sprzedane. Kiedy połowy były małe, albo zbyt duże, żeby rybę sprzedać, a do chat rybackich zaglądała bieda — wtedy rybacy uciekali się do podstępów. Popelniali jakiegokolwiek drobne wykroczenie, poszkodowany zgłaszał je do wójta — amtsvorstehera i wójt skazywał winnego na przykład na 14 dni robót w majątku jakiegoś Niemca. O to tylko chodziło, bo skazany miał przynajmniej co jeść przez te dwa tygodnie. To była jedyna forma „pomocy”, jakiej doznali od Prusaków rybacy Kaszubi.

O STRACHACH, DUCHACH, CZAROWNICACH, DIABIACH I RÓŻNYCH NIECODZIENNYCH ZDARZENIACH

W opowieściach ojca i dziadka i ich rówieśników powtarzały się historie o strachach, duchach, czarownicach, diabłach i różnych nieprawdopodobnych zdarzeniach.

Mieszkał kiedyś w Wielkiej Wsi Walcoszek. Opowiadał, jak kiedyś „zły” pod postacią konia chciał go przywieźć do zguby. Było to tak: pewnego dnia Walcoszek wracał z Jastarni do domu, a że przeszedł już blisko 40 km, był bardzo zmęczony. Trzy kilometry od swojej wsi zobaczył pasące się konie Golli. Spodobał mu się gniady konik i postanowił na nim dojechać do domu. Podszedł do gniadego,

poklepał go po karku, a że sznurków, które każdy rybak nosi w kieszeni, zrobił coś w rodzaju uzdy. W sznurek wplątał się różaniec i Walcoszek nie mógł go wyplątać, więc założył „uzdę” z różańcem. Dosiadł konia, a ten ruszył z kopyta w kierunku Wielkiej Wsi. W pędzie Walcoszek zauważył, że koń nie biegnie po ziemi, tylko unosi się dwa metry nad nią i pędzi w kierunku „Wielkiego Morza”. Jeździec już wiedział, że „zły” go chciał porwać. Ale dopadłszy plaży koń zrzucił jeźdźca i ludzkim głosem przemówił do niego: — Gdybyś mi tej ciężkiej uzdy nie założył, to już byłbyś mój. Walcoszek

przerażony, trzymając w rękę ciągle „uzdę”, zerwał się i zaczął uciekać na wydmy. Gdyby koń poniósł go trochę dalej, fala zabrałaby Walcoszka. Uratowała go uзда z różańcem, która ciążyła „złemu”. Kiedy Walcoszek uświadomił to sobie, westchnął i rzekł: — Żyję dzięki Tobie Matko Boska Różańcowa.

Prawie w każdej wsi żyła kobieta, którą inni mieszkańcy uważali za czarownicę trzymającą ze „złym”, która potrafiła rzucać uroki i sprowadzać nieszczęścia.

W Swarzewie za czarownicę uchodziła Kopczyńska. Pewnego razu Jan wrócił z polowu do domu bardzo głodny i zmęczony. Klara, jego żona wiedziała, co to zmęczenie, bo nieraz sama chodziła do niewodu od 14 roku życia, a za pracę, kiedy miała 18 lat, dostała nawet pół partu. Szybko więc uwijała się przy garnkach i opowiadała mężowi, co się zdarzyło pod jego nieobecność. Powiedziała m.in. o odwiedzinach Kopczyńskiej. Jan rzekł, że chętnie by tę czarownicę zbił na kwaśne jabłko. Kiedy położyli się spać, Jan poczuł jakiś ciężar na piersi, który rósł, jakby go miał udusić. Nie zastanawiając się chwycił mocno ciężar i zatopił w nim zęby. Poczul, jakby ugryzł mięso, ale ciężar zelżał, więc Jan zasnął i spał do rana. A rano po wyjściu zięcia do pracy, teściowa Jana idąc do kościoła ujrzała utykającą Kopeczyńską wspierającą się na lasce. Zapytała ją, co się stało. Na to Kopeczyńska mruknęła tylko, że to jej zięć tak ją urządził i zaczęła szybko się oddalać.

W Wielkiej Wsi zmora nawiedziła młodą dziewczynę — Czesię. Jednego dnia Czesia wróciła do domu z pieniędzmi, bo dobrze sprzedała rybę. Matka chciała dać dziewczynie ósmaka (25 fenigów) w nagrodę, ale córka nie chciała pieniędzy, tylko zwierzyła się matce, że co noc dusi ją jakaś zmora. Matka postanowiła, że tej nocy nie dopuszczą do tego. Sama miała robić ojcu na drutach skarpety, a córce poleciła wiązać żak. Chciały przeczekać czas, kiedy zmora nawiedzała Czesię.

Ale zmora była w zмовie ze „złym”,

bo o północy zaczęły się dziać straszne rzeczy: hałas, trzaski, wycie wypędziły kobiety do łóżek. Ze strachu przykryły głowy. Matka szybko usnęła, a Czesia znów jęczała pod ciężarem, bez żadnej pomocy.

Rybak Bernard również miał przygodę. Były sztormy, a Bernard był mocno zadłużony u Edwarda, który już nie chciał udzielać mu kredytu. Jedyną nadzieją było znalezienie czegoś na strądzie. Kazał żonie obudzić się o północy, bo wtedy jako pierwszy mógł coś na brzegu znaleźć. O północy białka zbudziła go. Bernard ubrał się i ruszył w kierunku Jastarni. Była pełnia księżyca i nagle Bernard poczuł, że ktoś krok w krok posuwa się za nim. Bał się spojrzeć za siebie, ale dziwne uczucie go nie opuszczało. Skreślił w stronę wody, a „towarzysz” go nie opuszcza. Bernard pomyślał, że to „zły” chce go zepchnąć do wody, więc wyjął różaniec i zaczął nim machać w kierunku „czarnego”, ale to nie pomogło. Bernard zaczął więc odmawiać różaniec, ale „zły” i tak nie odchodził. Był już blisko Jastarni, kiedy zobaczył zbliżającą się z przeciwną postać. Wystraszył się, że to drugi „purtk” idzie na pomoc „złemu”, który go nie opuszczał. Ale to nie był „purtk”, tylko stary Onufry, a za nim sunie coś ciemnego. Dopiero teraz Bernard obrócił się i zobaczył, że przez całą drogę towarzyszył mu nie „zły”, tylko jego własny cień, widoczny w świetle księżyca. Może to jest śmieszne, ale takiego strachu jakiego najadł się Bernard, nie życzyłbym najgorszemu wrogowi.

Strądowny Józek nie chodził do kościoła, mimo, że jego białka Anuszka była bardzo pobożna i dzieci również wychowywała na dobrych katolików.

Pewnego razu Anuszka z dziećmi wybrała się do kościoła, a Józek, jak zwykle, po śniadaniu poszedł do Lisiego Żłobu (jaru) patrzeć na morze. Morze to był jego żywioł. Wiele lat pływał na szlarach (żaglowcach), poznał świat, ludzi, ich życie. Teraz co prawda, co dzień był na morzu, ale boat (łódź) rybacki to nie to, co 14-osobowa szlara. Dlatego Józek odizo-

lował się od ludzi i dużo czasu spędzał samotnie na brzegu morza rozmyślając o własnym życiu. Kiedy miał niespełna 19 lat, miał w Strzelnie piętnastoletnią dziewczynę Teklę. Przysięgali sobie miłość i wierność. Ale potem Józek poszedł do szlary i przez 23 lata nie odwiedzał rodzinnej wsi. Przez ten czas nie przysłał Tekli żadnego listu, żadnej wiadomości o sobie, a ludzie różnie o nim mówili: że zawalidroga, rozbijaka, kobieciarz. Wreszcie po 23 latach Józek wrócił do Strzelna i trafił akurat na wesela „swojej” Tekli. Uciekł z wesela, ale Andrask, dawny kolega dogonił go i zabrał do swojego domu. Tam Józek spotkał Anuszkę i wreszcie ożenił się z nią. Anuszką była kobietą gospodarną i bardzo dobrą. Na jedno nie chciała się zgodzić, żeby Józek wrócił na szlary. A Józek od tego czasu jeden jedyny raz był w kościele — na własnym ślubie. Teraz Józek siedząc na kamieniu zastanawiał się nad tym i nagle zapragnął być przy swojej rodzinie. Wstał i zobaczył przed sobą ogromnego jeźdźca na wielkim koniu. Józek zerwał się i pobiegł w stronę kościoła, ale tam już nikogo nie było.

Wyszedł z kościoła i znowu zobaczył jeźdźca.

Wrócił do domu i opowiadał Anuszcze, co go spotkało. A ona powiedziała mu, że tego purtka spotykają ludzie nieuczciwi, bo to duch starego Niemca — kwakra, dawnego właściciela lasów, który pilnuje swoich poddanych. Widocznie samotne wyprawy Józka nie podobały mu się, więc ukazał się Józkowi w postaci jeźdźca. Od tego czasu Józek postanowił wszędzie chodzić ze swoją białką i dziećmi, nawet do kościoła, a ludzie długo opowiadali, jak to strądowny Józek się nawrócił.

Mieruszyński kwakier straszyl również rybaków, którzy zastawiali sieci na wysokości lasów, należących kiedyś do niego, i parobków, kaórzy pracowali w jego dawnym majątku. Ukazywał się im na wydmach, gdy odkotwiczały łodzie, albo w oborze, gdy szli po sieczkę dla koni. Rybacy bali się „purtków”, w ogóle byli przesądni. Wierzyli, że spotkanie kobiety

przed połowem przynosi pecha. W takim wypadku rybak powinien wrócić do domu i położyć się choć na chwilę z własną babą.

Pewnego dnia Jakub szedł na dryfowanie, bo była piękna pogoda. Tuż przed przystanią pomeranek spotkał Martę. — Samego diabła wolałbym spotkać! — zawołał, ale do domu nie zawrócił. Co się okazało? Z 48 wystawionych pławnic wybrali rybacy tylko 3, reszta podzielała się nie wiadomo gdzie. Kiedy Jakub powiedział szyprowi, kogo spotkał przed połowem, ten tylko powiedział, że kto z załogi spotka przed wyjściem w morze Martę, niech lepiej się na połów nie wybiera, bo nieszczęście może ściągnąć na całą załogę.

Rybacy bardziej bali się kobiet, niż zemsty świętych. Świadczy o tym przysłowia Walisza i jego córki.

Pewnego razu rybak Walisz z Kuźnicy wybierał się na targ do Pucka. Było to w październiku, a targi w Pucku odbywały się w środy. Walisz zabrał ze sobą córkę Klarę. Wzięli półtora talara (4,5 marki) i cztery węgorki, a kupić chcieli zapas żywności dla dziesięcioosobowej rodziny na całą zimę. Walisz miał w Leśniewie przyjaciela Lemana. Gdyby go spotkał na targu, to ziemniaki, groch, marchew i kapustę dostałby bez pieniędzy, jako pożyczkę. A zboże czy inne produkty kupiłby za pieniądze lub węgorki. Ale w Pucku nie było Lemana.

Gafka z Łebcza za dwa węgorki dał mu kapustę, groch i marchew, a Kleba z Domatowa — korzec żyta i dwa worki ziemniaków. Za to Walisz obiecał mu tranu morświnowego i foczego. Zostało jeszcze Waliszowi półtora talara. Kusiło go, żeby wypić kieliszek, ale Klara przypominała mu, że przydałoby się trochę kaszy, mąki i ryżu. Kupili i to, ale Klara znów przypominała ojcu, że w domu nie ma soli, ani cykorii. Udali się więc do Adolfka. Kiedy przyszło do płacenia, okazało się, że brak im jeszcze 2 talarów, a Adolfk nie chciał udzielić kredytu. Udało im się jednak pożyczyć pieniędzy od Didmana (handlarza rybami i siecia-

mi). Wreszcie załadowali całe zakupy na łódź i ruszyli z powrotem. Nie mogli postawić żagla, bo nastąpiła zupełna głada (cisza), a renując (wiosłując) posuwali się bardzo wolno.

Byli w połowie drogi do domu, kiedy nagle zerwał się sztorm z północnego wschodu. Walisz szybko postawił zreformowany żagiel, a Klara tymczasem wybiła wodę. Robiło się coraz ciężej. Walisz zaczął się modlić do św. Mikołaja: „Św. Mikołaju pomóż mnie do kraju

(brzegu), jedną Klarę mam, do klasztoru dam.” Usłyszała to córka i mówi, że nie pójdzie do klasztoru. Skrzyczał ją Walisz i kazał siedzieć cicho; żeby św. Mikołaj nie usłyszał jej sprzeciwu, i powtarzał swoje.

Kiedy dobili do brzegu i Walisz wyniósł wszystko na brzeg szczęśliwie, zażył tabaki, popatrzył w morze i powiedział: — Morze kuszni ty mnie w rzeć, Klara muszy doma bec — Taką to wartość miały obietnice Walisza.

O BŁĘDNYCH ŚWIATŁACH

O błędnych światłach krążyły pomiędzy ludnością nadmorską niesamowite opowiadania. Przypisywano im moc nadziemską, a spotkanie z nimi zawsze prowadziło do jakiegoś nieszczęścia. Miałem około 10 lat, jak pewnego razu nasza sąsiadka opowiadała o tym mojej matce. Jej opowiadanie brzmiało w sposób następujący:

W piątek przyszła do mnie moja koleżanka Ewa i powiada do mnie: — Wiesz co, Ciszko? W Żarnowcu jest wielka zabawa, to może byśmy tam poszli? Ja nie byłam nigdy w Żarnowcu, ale wiem, że jest to cztery godziny drogi. Ewa miała tam krewnych i kilka razy była. Ponieważ służyła u kwakra, to musiała tak zrobić, aby w sobotę dostać wolne. Ja z tym nie miałam kłopotu, więc postanowiliśmy, że pójdziemy na zabawę do Żarnowca. Powiedziałam mojej mamie, że pójdę do Czarnego Młyna do ciotki, na co nenka zgodziła się.

Wyszliśmy o godzinie czwartej przez Mieruszyno, Czarny Młyn, Karwieńskie Błota, Szary Dwór, Odargowo doszliśmy do Żarnowca, gdzie byliśmy o wpół do dziewiątej wieczorem. Po takiej drodze to już miałam tej zabawy po dziurki w nosie. Po krótkim odpoczynku u krewnych Ewy, jesteśmy na zabawie. Nie spodobało mi się tutaj zaraz od początku. Ale Ewa była ładną dziewczyną, a ja także nie najgorszą, tak, że po północy

miałam kawalera, no a Ewa miała powodzenie jak nigdy. Żarnowieckie dziewczyny zaczęły nam zazdrościć.

W pewnej chwili ni stąd ni zowąd usłyszałam krzyki skierowane przeciwko nam. Przeleżałam się niesamowicie, że mogą nas pobić, a tego bardzo się bałam. Uciekłyśmy więc z tumultu, jaki w tym czasie powstał. Słychać tylko było, że nas gonią. Jako schronienie posłużyła nam stodoła, obok której kilku przebiegło w pogoni za nami. Ewa poszła do krewnej po nasze rzeczy, a ja stałam nasłuchując i patrząc, gdzie oni się podzieją. Jak się zorientowałam, nasi prześladowcy polecili w stronę Odargowa. Ewa znając tamte strony nakłoniła mnie, aby pójść w stronę Odargowskich Pustek. Teraz dałyśmy nogom obroty na całego. Jak sarenki ścieżką do lasu. Po jego przebyciu zdawało się nam, że jesteśmy bezpieczne, bo znajdowałyśmy się nad krawędzią torfowiska. Idziemy w stronę Szarego Dworu, a następnie przez Bieławskie Błota. W drodze trwało milczenie. Nagle zauważyłam, że jestem sama, chcę wołać Ewę, ale ani rusz nie mogę z siebie głosu wydobyć. Co jest? Wszędzie woda i woda. Gdzie się znajdują? Chcę wracać, lecz zdaje mi się, że z tyłu jest jakby mur. Nic nie widzę, jeno wodę. Co gorzej, słyszę za sobą głosy. Żarnowian, co nas gonią. Na pewno to są te same głosy, co jeszcze w Żarnowcu słyszałam. Stanęłam

i o dziwo! Zapadam się w tej wodzie coraz głębiej i głębiej, zdaje się, że ktoś na mnie krzyczy, a ja idę, idę dalej i strach mnie objął, że się mogę utopić. Tak, to było światło, wyraźnie widziałam, to błędne światło — O Boże! — westchnęłam, — to ten Bielawski Purtk, to on tu jest, koniec ze mną. Krzyczę na całe gardło. Zaczynam się też modlić i idę dalej, woda powyżej kolan. Ale gdzie się Ewa podziała? Przyszło mi na myśl, że może już nie żyje? To znowu wołam z rozpaczą, ale odpowiedzi nie ma. Co powiem nence? Ciemno robi się mi w oczach, zdaje się, że cały świat ginie. Zaczynam się modlić już bodaj po raz czwarty, ale nic z tego, bo się gubię w modlitwie. Przypomniałam sobie, że mam różaniec. Wyjmuję go z woreczka i zaczynam odmawiać. Ale i to się nie udało. Jestem już po same gardło w wodzie, naprawdę w wodzie, czuję to całym ciałem. Nagle... udało mi się wydobyć z tej wody, stoję znowu na twardym. Oglądam się dookoła. Gdzie się mogę znajdować? Zastanawiałam się, co to mogło być. Nagle zauważyłam, że jestem na znajomej drodze. Jest most i droga poprzeczna, tak, to droga z Tupadeł do Mieruszyna. Wiem, gdzie jestem. Nie wie-

rzyłam w to jeszcze, ale już jest widno. Idę dalej, skręcam w lewo, jest Leśniewo, tak, do Poczernina prowadzi ta droga, jest i Strzeliński Młyn. Teraz biegiem poleciałam do domu.

Jak to się stało?

Musiałam przecież natknąć się na zabudowania Karwieńskich Błot, Sławoszynko, musiałam to widzieć, a nic nie widziałam?

A co jest z Ewą?

Przychodzę do domu, a tu już jest Ewa. Już prawie od dwóch godzin jest u moich rodziców. Matka łzami zalana, oplakuje mnie. Pytam Ewy, gdzie została? A ta powiada, że od Szarego Dworu poszła do Karwieńskich Błot przez Sławoszynko do Ostrowa, Tupady i do domu. Nie wie, gdzie ja zostałam, wołała mnie, czekała pół godziny. To pewnie mnie Bóg skarał za naszą pychę, a Ewie nic się nie stało, mimo że to ona była inicjatorką tej wycieczki. To było to błędne światło, o którym ludzie opowiadają. Tylko, że ja się modliłam, to dlatego nie zginęłam, bo ten purtk nie miał tyle siły, by mnie zabrać z tego świata.

(Ilustracje ze zbiorów Centralnego Muzeum Morskiego, Oddział Rybołówstwa w Helu)